Wojciech CHUDY

# KINO EWANGELICZNE

W czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia otrzymaliśmy od Telewizji Polskiej piękny prezent pod choinkę: *Jezus z Nazaretu** – czteroodcinkowy film angielsko-włoski z 1977 roku w reżyserii Franco Zeffirellego (istnieje też krótsza kinowa wersja tego filmu). Święta przed telewizorem to chyba najgorszy sposób spędzania tego corocznie zobowiązującego czasu, jednak w tym wypadku nie był to czas stracony. Był to czas zyskany.

Ogólnie film raczej nie radzi sobie z Ewangelią. Ta forma niezbyt dobrze przystaje do tej wysokiej i bardzo szczególnej treści. Jeszcze gdy twórca podchodzi do niej nie dosłownie, metaforycznie, to zdarza się, że powstanie utwór przekonywający, jak w przypadku *Pod wulkanem* J. Hustona, *Nazarina* L. Buñuela, czy nawet świetny, jak *La Strada* F. Felliniego. Jednak próby ekranizacji dosłownej życia i przesłania Jezusa Chrystusa kończą się z reguły wynikiem wątpliwym (jak np. w filmie A. Wajdy *Piłat i inni*) lub po prostu są nie do przyjęcia (jak w przypadku M. Scorsese *Ostatnie kuszenie Chrystusa*).

Zeffirelli uniósł ten temat.

To włoski mistrz sztuki filmowej. Tym razem osiągnął sukces dzięki wierności Ewangelii. Strona formalna – aktorstwo, prowadzenie kamery, używanie muzyki itp. – jest w tym filmie prawie niedostrzegalna. Jest całkowicie podporządkowana treści. Wyraz pokory artysty. Istnieje stała rafa, na którą natrafia sztuka stykająca się z tematem religijnym. Albo twórca eksponuje swój talent i pomysły formalne – i wtedy ekspresja przytłacza przesłanie, pomniejsza je (przykładem manieryczne obrazy K. Zanussiego, między innymi *Imperatyw*); albo reżyser (podobnie zresztą jest w przypadku pisarstwa lub malarstwa) zostaje tak bardzo pochłonięty treścią wysokiego tematu, że zapomina o bożym świecie – do którego wszak należy również forma. Wtedy wychodzi z tego kicz. To bodaj najczęściej spotykany przejaw związków religii z filmem, a także w ogóle ze sztuką współczesną.

Tym razem obraz jest pochłonięty Ewangelią. Życiem Chrystusa w Nazarecie, pośród wzgórz Galilei, gajów oliwnych i winnic Judei oraz na zakurzonych ulicach Jerozolimy. Jego nauką nabierającą coraz większej mocy, ukazywaną naturalnie, bez przesadnego patosu, z dynamiką zatrzymaną na dłuższą chwilę na Kazaniu na Górze

* Film telewizyjny (czteroodcinkowy) *Jezus z Nazaretu*. Produkcja angielsko-włoska, 1977 rok. Scenariusz: Franco Zeffirelli, A. Burges i S. Cecchi. Reżyseria Franco Zeffirelli. W rolach głównych: Robert Powell (w roli Chrystusa) Anne Bancroft, Claudia Cardinale, James Farentino, Olivia Hussey, Laurence Olivier, Anthony Quinn, Ian McShane, Michael York. Emisja w I programie Telewizji Polskiej 24-27 grudnia 1992 r.

i z codą Ukrzyżowania i Zmartwychwstania.

Ten film jest pochłonięty nie tylko faktografią i teologią. Nie tylko pokazuje „jak to było" i pozwala zrozumieć. Ten film także emanuje dobrocią. Wśród licznych postaci, jakie przewijają się przez osiem przecież godzin dziania się akcji, nie ma takich, o których można by z pewnością w sercu powiedzieć: „To ktoś zły". Nawet Judasz to owładnięty pasją polityczną doktryner, którego kapłan żydowski Zerah wmanipulowuje w sytaucję wydania Jezusa. Nawet Herodiada, doprowadzająca do śmierci Jana Chrzciciela, może być w tym filmie zrozumiana jako kobieta, którą poczucie grzechu wiedzie do zbrodni. Są tutaj ludzie błądzący, nieraz strasznie, zbrodniczo błądzący i trwający przy błędzie. Ale nie ma takich, którzy są straceni raz na zawsze, „dojrzałych do potępienia", jak to mówił Graham Green. Aura dobroci płynąca od osoby Chrystusa przenika wszystkie postaci filmu. Także widzów. Czuło się wzruszenie oglądając ten film. To wzruszenie, jakie odczuwamy zawsze odkrywając w dzisiejszym świecie szlachetność, bezinteresowną pomoc i prawdziwą dobroć.

Wielką wartością filmu Zeffirellego jest unikanie skrajnych rozwiązań, podążanie środkiem, „złotym środkiem" mistrza. Reżyser jest wierny Pismu, ale przecież nie jest w stanie oddać wszystkich zdarzeń opisanych w Ewangelii. Wydłużyłoby to niepomiernie trwanie serialu lub – „upchnięte" w tym samym czasie – dałoby utwór o konsystencji wideoklipu. Zeffirelli (wraz z dwoma innymi autorami scenariusza: A. Burgessem i S. Cecchim) więc wybiera. Czyni to z dbałością o czytelność całego posłania ewangelicznego i z dużym kunsztem.

Podobnie ta reguła umiaru i spokoju objawia się przy inerpretacji Ewangelii za pomocą obrazu. Nie ma tu owej przesady apologetycznej, tak znanej z filmów młodych twórców związanych z Kościołem. Ale nie upatrzysz też w tym dziele tej „pruderii" wobec nadprzyrodzoności, jaka cechuje filmy luminarzy naszego kina z K. Kieślowskim na czele, gdzie wymiaru nadnaturalnego unika się, jak niektórzy święconej wody, a jeśli już musi się go wspomnieć, to zostaje zredukowany do płaszczyzny psychologicznej (np. zbiorowej sugestii). W *Jezusie z Nazaretu* wiele scen pozostawia otwartą kwestię nadprzyrodzoności zdarzeń: tak jest np. w scenie Zwiastowania, uzdrowienia ślepca i spotkania przez kobiety Chrystusa-ogrodnika po zmartwychwstaniu w ogrodzie. Jednakże w przypadku niektórych kluczowych zdarzeń ewangelicznych Zeffirelli nie waha się stawiać kropki nad „i". W scenie rozmnożenia chleba i ryb na ekranie widać dziesiątki bochnów wydobywanych z pustych koszy, ryby sypią się z ludzkich rąk jak brunatna ławica. Łazarz wychodzi z grobu, a zmarła dziewczynka budzi się ze śmierci i przytula do swojego wybawiciela. Jest w tym filmie prostota i odwaga powiedzenia: „To jest cud!" Mało takiej determinacji w naszym świecie, także katolickim.

Wreszcie trzeba powiedzieć kilka słów o obsadzie aktorskiej. Ten film to mały festiwal gwiazd, w niektórych przypadkach podejmujących grę w epizodzie (jak Claudia Cardinale jako jawnogrzesznica). Rola Roberta Powella grającego postać Chrystusa konsekwentnie prowadzona,

spokojna, z pewnym rysem stanowczości i niezłomności. Można się doszukiwać w plastyce tej postaci naśladownictwa nastroju twarzy z Całunu Turyńskiego. Świetnie dobrano aktorkę (Olivia Hussey) kreującą Maryję matkę Jezusa – dziewczęca, o niewinnej twarzy od początku do końca filmu, kiedy gra już starszą kobietę. Można wskazywać na inne nazwiska znakomicie wpisujące się w ewangeliczny pejzaż tego dzieła (Anne Bancroft, Laurence Olivier, Anthony Quinn, Michael York, Ian McShane). Chciałbym jeszcze wyróżnić Jamesa Farentino odtwarzającego postać Szymona Piotra. Potężna, przyciężka postać małomównego apostoła, a później pierwszego papieża, doskonale oddawała ów zwornik, ową „skałę" (petra to po łacinie skała) łączącą niebo z ziemią, Kościół z Bogiem. Ta rola pozwalała uprzytomnić także przeznaczenie i odpowiedzialność dzisiejszego papieża. Nie jest On ponad światem, lecz musi swą wiarą, modlitwą i intelektem być na miarę nieba – tutaj na tej ziemi.

Gdy oglądałem ten film, cały czas kołatało się we mnie pytanie. Dlaczego w Polsce, kraju szczycącym się od wieków katolicyzmem, nie robi się filmów na miarę *Jezusa z Nazaretu*? Dlaczego nie pisze się sztuk na miarę P. Claudela i książek o randze literatury katolickiej G. Bernanosa? Dlaczego w telewizji polskiej można obejrzeć tylko filmy amerykańskie i czechosłowackie (np. w ubiegłym roku *Hamak*) na temat szamotania się moralnego z problemem aborcji, a w Polsce, kraju ustawy o obronie życia nie narodzonego, nikt z naszych wybitnych reżyserów go nie podjął? Dlaczego? Czy to kwestia tego katolicyzmu, który ludzi sztuki nie inspiruje? Czy może to kwestia ludzi sztuki, takich, a nie innych, zajętych innymi światami i innymi tematami...?